№ 13.

WARSZAWA

d. 19 (31) marca

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie jest to złem, że nas ludzie widzą, ale jest grzechem działać dlatego, abyśmy byli widziani. (Śty Augustyn).

ALLELUJA.

Raduj się dziś ludu wierny,
Podnoś w niebo twe spojrzenia,
Niechaj cały świat obszerny
Zabrzmi głosem uniesienia!
Ten, co z palmą szedł męczeństwa,
Doszedł już do zmartwychwstania,
Przeniósł męki człowieczeństwa
Wstał, rany światu odsłania.
Dziś Zbawca, co leżał w grobie,
Przetrwawszy mąk czas żełżywy,
W przecudnej bóstwa ozdobie
Powstał jako Bóg prawdziwy;
Zwalczył śmierć i mocy piekła,
Dla dusz wybranych swobody
Z ran Jego świętych krew ciekła,
Jak strumień ożywczej wody.
Zmartwychwstał, jako powiedział
Do uczniów przed swym pogrzebem,
By złamać ostatni przedział,
Który rozłączał nas z niebem.
Alleluja, Alleluja!
Niechaj brzmi w wiernych dziś gronie,
Niech dusza radośnie buja,
Gdzie Zbawca zasiadł na tronie.
Znikły z ziemi ból, sromota,
Śmierć ciała, to port bezpieczny,
Bo za nią wieczności wrota,
Bo za nią spoczynek wieczny.
A kto umrze tu niewinny
Dla dobra swych ziemskich braci,
Ten pozyska żywot inny
Za to, co tu w życiu straci.
Łączmy więc bratnie prawice,
O! ludu wszelkiego stanu,
Szczęśliwi nieba dziedzice,
Jedyna rodzino w Panu!
Niechaj nam ziemska pokusa
W tej drodze kroków nie chwieje,
Patrzmy na ten cud Chrystusa,
I w nim połóżmy nadzieje.
A jeśli kiedy cierpienie
Jaką niemoc na nas rzuci,
Niech święte Zbawcy wspomnienie
Siłę nam ducha przywróci!

TOWARZYSTWO ROLNICZE

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Zgromadzeni na doroczne posiedzenia w miesiącu Lutym r. b. Członkowie Towarzystwa Rolniczego, właściciele ziemscy tutejszego kraju, w liczbie półtora tysiąca, naradzali się głównie nad tem, jakby sprawiedliwie i sumiennie porachować się z gospodarzami pańszczyznianymi na gruntach ich siedzącymi, żeby od pańszczyzny ich prędzej uwolnić, to jest oczynszować, i na czas przyszły jak najlepiej opatrzeć. Uchwalili zatem wszyscy zgodnie:

Najprzód: *że pośpiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju*; to ma znaczyć, że każdy starać się będzie ze wszystkich sił, aby sprawy tej nie odkładać na czas długi, ale dla wspólnego dobra naszego kraju, śpiesznie z gromadą godzić się i jak tylko kto może, zaraz czynszować.

Powtóre: *że dobrowolność umowy jest najwłaściwszą podstawą działania w przemianie stosunków włościańskich*; to znaczy, że się dziedzice mają godzić z gromadą po dobrej woli wzajemnej, podług sumienia i słuszności dla obu stron, a wcale nie z przymusu; a jeżeliby spory były o oddzielenie gruntów włościańskich od folwarcznych, o pastwiska, ugaj, o wysokość czynszu, albo o co innego, to tak pan jak gromada niech wybierają sami sędziów od siebie, a sędziowie jak osądzą, tak już ma być i tak się w kontrakt zapisze.

Potrzecie, uradziło też Towarzystwo Rolnicze, że na czynszach nie koniec, że trzeba, *aby przez właściwie obmyślaną operacyą kredytową, skup czynszu na celu mającą, włościanie doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów.* To się rozumie, że jak się pan z gromadą na czynsze ugodzą, wtenczas każdy gospodarz będzie mógł podług swego czynszu osadę wykupić na swoję własność, a ci gospodarze, co nie mają czem odrazu zapłacić, dostaną na kredyt od kassy obywatelskiej, która ma być na to postanowiona.

Będzie o to staranie Towarzystwa, żeby gospodarzom oczynszowanym skup czynszu jak można najtaniej wypadł, to jest, że jak tylko Rząd na to pozwoli, to rzeczona Kassa Obywatelska każdemu gospodarzowi oczynszowanemu pożyczy, ile potrzeba na wykupienie osady, którą posiada. Gospodarz zaś, czynszem tym samym, jaki dotąd płacił, lub o jaki ugodzi się z dziedzicem, całą pożyczkę zapłaci tej kassie w lat kilkadziesiąt, a zaraz zostanie właścicielem.

Uradziło jeszcze Towarzystwo Rolnicze, aby ta kassa pewną część czynszów zostawiła na fundusz gromadzki, na szkółkę, na ubogich, na kościół, albo na inne potrzeby gromadzkie, jak sama gromada rozrządzi.

Tak przez lat kilkadziesiąt spłaci się osada.

Potem nikt już czynszów płacić nie będzie, tylko podatki rządowe, i to, co na fundusz gromadzki przeznaczono.

Towarzystwo Rolnicze ogłasza dla wiadomości wszystkich, że takie były rzetelnie tegoroczne narady obywatelskie, i na to się obecni na tych naradach obywatele podpisali. Niech każdy człowiek dobrej woli, kraj swój miłujący, poczciwie i rozważnie to zrozumie, a ktoby inaczéj mu opowiadał, temu niech wiary nie daje.

Warszawa dnia 20 Marca 1861 r.

(podpisano:) **Prezes *Andrzej Zamoyski.***

Członek Sekretarz *Władysław Garbiński.*

Opowiadanie pana Michała.

—

W Lubelskiem, w dobrach hrabiego Stanisława, był znanym zaszczytnie ekonom pan Michał Garbacki, stary sługa domu tego, bo w nim bez przerwy lat blisko pięćdziesiąt kilka wysłużył; rzadka to rzecz teraz!.. Kochali go wszyscy i poważali, i raz gdy się doń na święty Michał nazjeżdżało starych towarzyszy, ci go prosić poczęli, aby im opowiedział, co miał za sposób, iż całe życie spędził szczęśliwie, że go nikt nigdy strapionego nie widział, ale zawsze ze swobodą na czole, a uśmiechem na ustach. Na co pan Michał odrzekł, że łatwy to sposób, trzeba tylko zgadzać się z wolą Boską, służyć uczciwie i na mierności poprzestać, a rozochociwszy się solenizant starym miodkiem, na dowód prawdy, usiadłszy wśród przyjaciół, żony i dziatek, w tych słowach opowiedział szczegóły życia swego:

— Urodziłem się na Podlasiu we wsi Orzechówce, ojciec mój był tam zamożnym gospodarzem pańszczyznianym. Byłem jedynakiem; gdym dorósł lat sześciu, odumarł mnie ojciec, matka niebawem poszła za drugiego, lecz i dwóch lat nie żyła w tym związku. Po śmierci jej byłem w wielkiej poniewierce u ojczyma: bił mnie, głodem morzył, z domu wypędzał, choć majątku po rodzicach byłem jedynym spadkobiercą, bo dzieci z drugiego małżeństwa nie było; nikt nie ujął się za krzywdą sierocą. Otóż nie mogąc służyć we wsi, gdzie mieszkał mój ojczym, bo mnie wszędzie prześladował, chcąc się pozbyć z oczu, by spokojniej dobra mego używać, za poradą Nastki wychowanicy mej matki, dziewki folwarcznej, rzuciłem kąt rodzinny. Oporządziła mnie ona jak mogła, bo jak żebrak chodziłem, dała mi cztery złote na drogę, a wyprowadziwszy za wieś, taką naukę udzieliła:

— Idź moje dziecię w ten świat szeroki, co widzisz przed sobą, wezwawszy Boga na pomoc, a opiekuna wszystkich sierot. Wszędzie ci będzie lepiej niż we własnym domu, a pamiętaj, gdy sobie służbę wynajdziesz, to nie bądź leniwym, a co najwięcej służ wiernie, to będziesz miał chleba podostatkiem, wesele w sercu i spokój w sumieniu.

Z wielkim płaczem pożegnałem poczciwą Nastkę, i gdym odszedł tyle, że obróciwszy się, jużem jej nie dojrzał stojącej na wzgórku i patrzącej za mną, i gdy mi wieś rodzinna przed oczami znikła, to mnie wielki żal i strach ogarnął. Począłem płakać, modlić się, bo mi się tak zdało, żem został na wielkiej pustyni. Ale po chwili uspokoiwszy się, poszedłem dalej, i tak włóczyłem się tydzień, nie mogąc służby znaleść; dnia ostatniego już tylko trzy grosze pozostało mi z Nastkowych pieniędzy. Począłem rozmyślać, że może gdzie przy drodze przyjdzie mi umrzeć, bom żebrać wstydził się; wrócić do domu nie chciałem, bom wolał śmierć nad męki, które w nim wycierpiałem, i tak się biedząc myślami, usiadłem przy figurze, co stała na rozstajnych drogach, i począłem się modlić do Chrystusa rozpiętego na krzyżu, gdy nadjechał pan jakiś pocztą. Otóż skoczyłem co prędzej do niego, kazał stanąć, a ja śmiało rzekłem:

— W. panie, jestem sierotą, nie mogąc przy złym ojczymie wycierpieć dłużej, za poradą Nastki poszedłem szukać służby po świecie, i oto już tydzień włóczę się nadarmo, i znaleść jej nie mogę. Przejadłem pieniądze, co mi Nastka dała, i już chyba przyjdzie mi umrzeć z głodu — możeby pan jaką służbę przepytał?

Zaśmiał się podróżny, a lokaj krzyknął na mnie:

— Pójdź precz!

Pan kazał milczeć lokajowi, a mnie zapytał, patrząc w oczy:

— A czyliż to wszystko prawda, co mi powiadasz?

— Panie, wszystko święta prawda, zawołałem ze łzami, jeżeli pan nie wierzy, można się spytać Nastki.

Podróżny na te słowa uśmiechnął się, kazał mi siąść przy sobie i rzekł:

— Nie smuć się moje dziecię, może da Bóg, że ci się wystaram dobrej służby.

Gdy już słońce spuszczać się miało ku zachodowi, wjechaliśmy do bardzo pięknej wsi, leżącej w dolinie, i niebawem stanęliśmy przed wspaniałym domem. Wieś ta zwała się Topolinem, ta właśnie, w której dziś zebrani jesteście mili przyjaciele, by uczcić życzeniami sąsiada i słuchać jego opowiadania. Ta to nareszcie wieś, w której przeżyłem prawie pół wieku szczęśliwie, i gdzie dodał, spocznę kiedyś ujęty nieprzespanym snem wieczności.

Gdym tu przybył, wszystkich oczy zwróciły się na mnie. Lokaj opowiedział służbie z dodatkami, jak prosiłem pana hrabiego, aby mi służby się wystarał; śmiano się zemnie strasznie, nazywano przybłędą. Jeden tylko Antek kuchcik w równym zemną wieku, zbliżył się po przyjacielsku zemną, pocieszał, nie kazał brać do serca drwin hałastry i wróżył, że będę szczęśliwy. Lecz niebawem ucichły te śmiechy, przed któremi nie wiedziałem gdzie się skryć mam, gdy państwo kazali mnie pięknie oporządzić i przeznaczyli do usług panicza i jego dyrektora p. Uszyńskiego na miejsce chłopaka Grzesia, który nie umiał dobrego miejsca szanować. Stary kamerdyner Mateusz zainstalował mnie na to miejsce, dawszy nauki, abym służył wiernie, był porządny, czysto chodził, rano wstawał, i pełnił wszystko, co mi rozkażą bez skrzywienia się.

— Pamiętaj, mówił dalej, co ci tu wyłuszczyłem, aby nie była w robocie... i wskazał dyscyplinę wiszącą na ścianie. Z Grzesiem dodał, znała się ona dobrze.

Pocałowałem starego Mateusza w rękę, przyrzekajac święcie, że wszystko spełnię, co mi rozkazał; stary pogłaskał mnie po głowie, poczem wyszedłem z kredensu.

Dobrze pamiętałem, co mi polecono, bom sobie pacierz pana Mateusza rano i w wieczór przypominał, budziłem się raniutko i nim dyrektor wstał z paniczem, to już mieli poczyszczone ubranie i nagotowane przy łóżkach, pokój od nauki wymieciony czyściuteńko, i czekałem tylko dalszych rozkazów, pamiętając, abym zawsze był na ich zawołanie. Nadto starałem się również dla wszystkich we dworze być usłużnym; co mi kto kazał zrobiłem, chętnie, nie wymawiając się jak kto robią, że to do mnie nie należy; miał zemnie pomoc każdy: kucharz, gospodyni folwarczna, lokaje w kredensie, dosyć że zacząwszy od pana dyrektora i panicza, aż do pomywaczki, w kuchni wszyscy mnie chwalili i lubili, a lokaj Józef, co się pierwej wyśmiewał ze mnie, żem pana hrabiego prosił o wystaranie się służby, przed wszytskimi nazywał mnie prawą ręką swoją.

Z czasem też pan dyrektor tak mnie polubił, że w wolnych chwilach począł mnie uczyć.

Wkrótce z łaski pana dyrektora gładko czytałem, pisałem dobrze, nauczyłem się jeografii, ztąd wiedziałem, w jakiej części świata mieszkam. Ale pan dyrektor nauczył mnie i historyi polskiej; lubiłem bardzo uczyć się jej, bo pięknych z niej rzeczy dowiedziałem się o moim kraju, i o królach, którzy w nim panowali, że aż dziękowałem Bogu, iż mi nie gdzieindziej ale na Polskiej ziemi urodzić się dozwolił. A jak się nauczyłem religii, to mi się tak wyraźnie zdało, jakby wielka jasność oświeciła mnie; i odtąd gdym poznał Boga, bać się Go i kochać nauczyłem, to mi się inny piękniejszy świat wydał, i wszystko mnie na nim zajmowało, począwszy od drobnej trawki, aż do błękitnych niebios, bo w tem wszystkiem widziałem wszechmocną rękę Boga.

Dawniej Antek kuchcik, o którym to już mówiłem, choć był nie zły chłopak, ale mnie nieraz do psoty namówił, żem z nim w wolnych chwilach biedne ptaszyny z gniazdek tykami wykręcał, lub w ogrodzie zaarendowanym przez żydów namówił mnie do rwania owoców, ale po nauce religii już mnie do niczego namówić nie potrafił. Niech Bóg da niebo panu dyrektorowi, bo on mi wiele tem dobrego zrobił, że nauczył tej miłości dla wszystkich ludzi; odtąd szczęśliwym zostałem. Mawiałem nieraz Antkowi o tej nauce, i że źle

robi, ale się tylko wyśmiewał zemnie, ztąd wielki mi go żal zrobiło się. Otóż raz upatrzywszy sposobną chwilkę gdym był sam na sam z panem Uczyńskim i pocałowawszy go w rękę, rzekłem:

— Zrobiłeś mnie pan szczęśliwym, nauczywszy kochać i bać się Boga, chciałbym, aby tego dobra używali i drudzy. Jest tu proszę pana kuchcik Antek wielki psotnik; lubię ja go bardzo, niech go pan, dodałem, rzuciwszy się mu do nóg, nauczy religii, a on pewno jak ukocha Boga i pozna Go lepiej, przestanie złe broić.

Widziałem, jakem skończył, łzy w oczach pana dyrektora, pocałował on mnie w głowę i rzekł:

— Cieszę się, żem ucząc ciebie, rzucił ziarno na urodzajną niwę, skorzystałeś z moich nauk, gdy kochasz bliźniego i pragniesz jego dobra; zadość uczynię twoim prośbom, przyprowadź mi mi go tu zaraz.

Pobiegłem co tchu i znalazłem Antka z wielkim moim smutkiem na gruszy w cudzym ogrodzie, ale pomyślałem: nie będziesz ty już więcej broił.

Gdy przyprowadziłem go, pan Uszyński kazał mu zajprzód pacierz mówić; Antek począł pleść duby, ażem z wielkiego wstydu krwią się oblał, potem go pan dyrektor spytał z katechizmu, a tu biedny chłopiec niewiedział, kto go stworzył; i jakże tu się było dziwić ze złe robił? Ale w pół roku jak go wzięto w obroty, umiał on to wszystko co ja umiałem, i potem stał się z niego poczciwy i rzetelny człowiek.

Ośm lat służyłem we dworze Topolińskim, po ośmiu latach pan dyrektor z paniczem z wielkim moim żalem wyjechali na mieszkanie do Warszawy. Po wyjeździe ich w dni kilka, kazał mi pan hrabia zawołać ekonoma pana Andrzejewskiego, który mu już służył lat 47 i przyjść z nim samemu, gdyśmy weszli, pan hrabia rzekł:

— Służysz mi już panie Andrzejewski lat wiele, trzebaby ci pomyśleć o łaskawym chlebie, abyś odpoczął po pracy. Otóż chcę, żebyś Michała (dodał, wskazując na mnie) wyuczył gospodarki po swojemu; jakem się przekonał, dobry to chłopiec. Prosił mnie też za nim syn mój i pan Uszyński; ile mi się zdaje po gorliwem i wiernem pełnieniu jego dotychczasowych obowiązków, że z czasem powinienem mieć z niego dobrego sługę. Czy tak? zapytał mnie pan hrabia.

Ucałowałem rękę mego dobroczyńcy, przyrzekając, że mu wiernie służyć będę. Poczciwy pan Andrzejewski, który mnie takoż lubił, bo i jemu zdarzyło się nieraz przysługę jaką zrobić, zabrał mnie do siebie. Przeznaczono mi z rozkazu pana dwie małe stancyjki na drugiej stronie, gdzie mieszkali państwo Andrzejewscy i stół u nich, na co dostali ordynaryę, nadto na potrzeby dano mi małą pensyjkę miesięczną. Przez lat ośm służby, z pensyi pobieranej i datków różnych uzbierałem sobie rubli 30; do tego poczciwy kamerdyner Mateusz, com go w chorobie pilnował, gdy wszyscy od niego uciekali że był gderliwy, umierając, przekazał mi rs. 60, bo z rodziny nie miał nikogo, komuby miał zostawić. Prosiłem go serdecznie, aby tego nie robił, bom się bał, żeby ludzie nie powiedzieli, żem za powinność chrześciańską pieniądze od niego wyłudził, ale nie mogłem go uprosić.

Po śmierci jego oddali mi te summkę, zachowałem ją aż mi się oto przydała, bo wyporządziwszy pokoiki, pojechałem do miasteczka pobliskiego i kupiłem sobie co najprzód obraz Matki Boskiej, mały nad łóżko dywanik, kilka obrazków i fuzyjkę, resztę dano mi ze dworu. Pani Andrzejewska jak zobaczyła moje pokoiki już urządzone, to mi wielkie oddała pochwały, że porządek lubię, a jak spostrzegła obraz Matki Boskiej nad łóżkiem, to mnie aż w głowę pocałowała, bo lubiła bardzo ludzi pobożnych.

Pan Andrzejewski był ekonom, jakich mało naliczyć można, znający się na wszystkiem, że bywało panowie starzy gospodarze zjeżdżali się do niego po rady, a do tégo wielce był dbały o dobro pańskie więcej jak o swoje; nie bogacił się cudzym zakazanym groszem, a dzieci pięknie powyposażał. Ale też i ona przysparzała grosza gospodarką: nabiałem, przędziwem, karmieniem wieprzy i drobiu; mało dziś takich gospodyń. A do tego wszystkiego była bardzo oszczędna, nigdy się nie stroiła, mówiąc:

Co ekonomowej po tem, niech ona i axamity włoży, to niczem innem nie będzie tylko ekonomową; a gdy się nadto ustroi, to ludzie

nie powiedzą, że zarobiła na to, ale że jej mąż zbogaca się krzywdą państwa... a niechże mnie Bóg od tego zachowa, ażebym na siwą głowę mego Janka taką niesławę ściągała; tego każda żona lękać się powinna, bo dobre imie to największe człeka bogactwo i strój najpiękniejszy. Pan Andrzejewski takoż nie stroił się, a do tego nigdy nie zadawał z podejrzanymi towarzyszami, którym ukrzywdzić państwa łatwo, stronił od nich zdaleka jakby od zapowietrzonych, i raz pamiętam, gdym się zapoznał z młodym z sąsiedztwa ekonomem, jak to zobaczył, zawołał mnie i rzekł:

— Słuchaj no paniczu, żebyś mi się z tym łotrem nie zadawał, bo i znać ciebie nie zechcę; to wisus, co za pańską krzywdę fraki nosi i paraduje, zeby mi tu jego noga więcej nie postała bo... dodał podnosząc w górę rękę, jak ojciec cię ukarze.

Przeprosiłem starego i zerwałem znajomość z podejrzanym.

Państwo bardzo lubili państwa Andrzejewskich: bywało w wigilię Bożego Narodzenia, musieli z nimi jadać pośnik, i jajkiem Wielkanocnem najpierw się z nimi dzielili, a zawsze im mawiali: że sługa wierny, to najpierwszy przyjaciel.

Staruszkowie oboje kochali się serdecznie, żyli już wtedy z sobą lat 47, gdym na naukę był oddany. Mieli dwoje dzieci: syn był ekonomem, córka takoż wydana za ekonoma. Gdy się znajomi pytali pana Andrzejewskiego, dlaczego mając dostatek, nie kierował syna na jakiego urzędnika, a córki nie wydał za jakiego pana, wtedy stary odpowiadał:

— Alboż to ekonom nie pan, byle uczciwie służył i miał czyste oko przed Bogiem i ludźmi? W mierności moi mili szczęście, bo je praca wyradza i prawdziwem czyni; ja oto z moją Anuśką żyję długie lata, pracujemy całe życie i całe życie szczęśliwi jesteśmy... i któż mi powie, żem nie pan? Choć nie mam wsi dziedzicznych i mnóstwa służebników, ale mam większe nadto bogactwo, bo czyste jak źródlana woda sumienie, które mi daje usnąć spokojnie i spożyć chléb zapracowany swobodnie.

Słysząc tak nieraz mówiącego pana Andrzejewskiego, gorąco prosiłem Boga choć o połowę takiego spokoju i szczęścia w przyszłości.

W dniu, w którym miałem rozpocząć naukę u pana Andrzejewskiego, wstawszy rano, pomodliłem się serdecznie przed obrazem Matki Boskiej, abym naukę przyjął na korzyść własną i pana mego, abym uczciwie służył, żadnym brudnym czynem życia mego nie splamił. Po tej modlitwie śmiało poszedłem na drugą stronę do państwa Andrzejewskich i niebawem pojechaliśmy w pole. Obwiózł mnie najpierw pan ekonom po polach folwarku Topolin, abym poznał granice; dopieroż tam były nauki, a tak jakoś je porządnie wykładał, żem odrazu wiele rzeczy wiedział, a co najwięcej to prawił o uprawie roli.

—

Na tem zawieszamy na dziś opowiadanie p. Michała, dalszą jego historyę opowiemy później.

Nauki wiejskie

tyczące się gminy, życia i stosunków wieśniaka.

—

Wiadomość o powyższej książce poprzedzimy krótkim rysem życia niedawno zmarłego jej autora, z którego dowiecie się, kto on był, i jakie były cele pism jego dla ludu wydawanych.

Ewaryst Estkowski urodził się roku 1820 we wsi Drzązgowie, powiecie Średzkim w Wielkopolsce. Do szóstego roku życia wychowywał się pod okiem rodziców, następnie zaś oddany został do szkółki elementarnej pod dozór wiejskiego nauczyciela. Nauczycielem tym był człowiek surowy, napojony dawnemi zasadami nauczycielstwa, w którego przekonaniu postrach, to jest rózga i dyscyplina były najpewniejszemi środkami, do wpojenia w młode umysły wykładanych przedmiotów:

Rószczką Duch święty dziateczki bić radzi,
Rószczka bo zdrowiu nigdy nie zawadzi,

Powtarzał za każdym razem, kiedy mu jej w jego przekonaniu wypadało użyć dla lepszego wbicia w pamięć zadanej lekcyi.

Oburzony doświadczoną w dzieciństwie niesprawiedliwością i srogością, młody Estkowski zostawszy sam z kolei nauczycielem, powziął myśl obalenia tej nieszczęsnej zasady dawnego nauczania za pomocą grozy i kary, oraz chęć wynalezienia środka pomagającego pamięci młodocianej, ażeby nauka była dla dzieci raczej zabawą aniżeli trudem. Myśli tej

oddał się z całą miłością; jej poświęcił wszystkie dni życia, walczył za nią piórem i słowem i tyle dokonał, że główną podstawę zastarzałego sposobu nauczania zwalił nazawsze.

Nie będziemy wchodzić we wszystkie szczegóły smutnej historyi dziecinnego wieku Ewarysta, przytoczymy jedynie to, co ważniejsze. Zafukany w szkole, przygnębiony plagami i srogiem obejściem, stępiał całkiem na umyśle i czuł się do niczego niezdatnym. Syn ubogiego oficyalisty, nie mógł myśleć o wyższej szkole. Ojciec miał zaledwie tyle, że mu na biedne starczyło życie; po ukończeniu więc początkowych nauk, siedział jak to mówią za piecem, używany do rozmaitych posług domowych. Przyglądając się robocie stolarskiej w domu ojca, powziął był chęć nauczenia się tego rzemiosła; strugać przez dnie całe, robić stoliczki i kołyski dla dzieci, wieczorem zaś słuchać bajek przez starego włodarza opowiadanych, było najmilszem jego zajęciem, największą jego rozkoszą; wtedy to czuł się on, jak sam powiadał, zupełnie szczęśliwym.

Na usilne prośby oddał go ojciec na próbę do stolarza, ale rozczarowanie nastąpiło wprędce. Stolarz ów był to sobie prostak, który z czeladzią używał wyrazów grubych i karczemnych i dopuszczał się rozmaitych zdrożności, co zniechęciło młodego terminatora i do majstra i do jego rzemiosła i stało się powodem, że pomyślał o innym zawodzie.

W r. 1836 mając lat 16, przysposobiwszy się jakotako, przyjęty został do seminarjum nauczycielskiego w Poznaniu, z którego po trzech latach wyszedł z patentem nauczyciela wiejskiego, i przywołany został zaraz do objęcia posady nauczyciela we wsi Wojciechowice w powiecie Szremskim.

Piękny to był dzień w życiu naszego pisarza, powiada w wspomnieniu o jego życiu, przyjaciel jego Teofil Lenartowicz poeta, i kto wie czy nie najpiękniejszy w całym jego zawodzie nauczycielskim. W dniu tym biedne niegdyś, bite, zahukane chłopię miało przywitać ubogie dzieci, równie jak on niegdyś trwożliwe, przygarnąć je słodyczą charakteru, zamiłowaniem piękności nauki; miało tych swoich braci ukochać i wynagrodzić im za poprzedników surowe obejście się z nimi. Co za szczęśliwy dzień dla młodzieńca, marzącego o szczęściu wszystkich!

Wszakże marzenia te trwały krótko bardzo. Wprowadzając zasadę łagodności i słodyczy w miejsce dawniejszej, musiał ścierać się na każdym kroku z zastarzałemi przesądami i uprzedzeniami swych zwierzchników; ztąd liczne spotykały go cierpienia i niesprawiedliwości. Zmęczony nierówną walką, a z drugiej strony chciwy dalszej nauki, rzucił posadę i uzbierawszy z wielkim trudem nieco grosza, udał się do szkoły najwyższej (Uniwersytetu) we Wrocławiu.

Przez czas swego pobytu na Uniwersytecie skorzystał ile mógł; na dłużej zabrakło funduszu, pomimo że się byle czem obywał. Nieraz wtedy cierpiał biedak taki niedostatek, a nawet nędzę, że po kilka tygodni żył jedynie chlebem razowym i wodą.

W r. 1848 otrzymał za usilnem staraniem, ale na krótko posadę przy seminarjum nauczycielskiem w Poznaniu; w roku następnym zaczął wydawać w temże mieście czasopismo *Szkoła polska*, do którego dołączył później *Szkółkę dla młodzieży* wychodzącą w odstępach sześcio tygodniowych. Obadwa te pisma wielkiej dla stanu nauczycielskiego ważności, redagowane umiejętnie i starannie uczyniły imie Estkowskiego głośnem w całym kraju; wszakże jako jednemu poświęcone przedmiotowi nie opłacały się, ztąd długi, kłopoty, zmartwienia niepoliczone, a praca od świtu do nocy, za którą złamanego nie miał szeląga, tak iż dla utrzymania życia musiał dawać lekcye prywatne.

W tymże czasie ożenił się, ale go Bóg ciężko dotknął, zabierając mu śliczną dziecinę jeszcze w niemowlęctwie.

W r. 1854 dla poratowania nadwątlonych sił, był u wód w Saltzbrün; ale nie nadługo miał się już cieszyć polepszonem zdrowiem. Wadliwa budowa piersi, zmartwienia bezprzestanne i ciągła praca ścięły go z nóg w samej sile wieku. Lekarze wysyłali go jeszcze do rozmaitych wód uzdrawiających, ale na próżno; we dwa lata potem zmarł w Soden, na rękach przyjaciela swego doktora Gąsiorowskiego, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia 1856 r. w wieku lat 36.

Na grobie jego położono ten wiele mówiący napis:

Tu spoczywają zwłoki dobrego człowieka.

Książka, o której podajemy dziś wiadomość, jest jedną z licznych prac Estkowskiego, poświęconych dla użytku nauczycieli wiejskich; jest ona dla nich przewodnikiem, uczy, w jaki sposób należy im rozwijać pojęcia młodego pokolenia wieśniaczego, pieczy ich powierzonego, jak wpajać w nie zamiłowanie stanu rolniczego, przedstawiać jego zacność i pożytki. jakie przynosi dla siebie i bliźnich.

Kraju naszego głównem bogactwem jest ziemia, z niej pracowity rolnik wydobywa chléb żyzny, którym karmi swoich i obcych. Ztąd to poeta nasz Klonowicz porównywając bogactwa innych krajów z naszem, słusznie powiada:

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła jako u Boga na łonie;
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Jak potrzebną jest młodzieży kmiecej nauka o rolnictwie i o udoskonaleniu pracy w polu i przemyśle, (powiada autor w uwagach wstępnych) tak również potrzebna jej jest znajomość życia i stosunków mieszkańca wsi. Nie jeden z wieśniaków zestarzał się, a nie zastanowił się nad tem, jak to idzie to życie na wsi, czemu tak, a nie inaczej?.. nie pomyśli, że rozum i uwaga wszystkim zawiadować powinna; idzie ślepo za drugimi, za zwyczajem, za mniemaniem, za błędem. Nad położeniem, potrzebami, prawami, obowiązkami i urządzeniami nie zastanowi się. A przecież to jest najbliższa ciała jego koszula, najbliższy przedmiot jego nauki i poznania. A przecież w gminie odbywa się pełne życie, bo gmina jest jedną, wspólnem życiem i stosunkami powiązaną rodziną, narodem, państwem; każdy mieszkaniec wsi, jest obywatelem swej gminy.

Od nauki elementarnej fizyki, historyi naturalnej, jeografii, bliższą, ważniejszą i potrzebniejszą młodzieży w szkole wiejskiej jest nauka o rolnictwie, pracy i przemyśle, o życiu i obowiązkach rodziny, o potrzebach, prawach, obowiązkach i urządzeniu gminy.

Jedynie przez taką naukę dziecko wieśniaka, do powołania swego stosownie przygotować się może; jedynie przez taką naukę z rozumem i uwagą na to zapatrywać się nawyknie, na co codziennie bez myśli i wrażenia patrzy. Oczy mu się otworzą, spostrzeże rzeczy ciekawe i pouczające, przywiąże się do zatrudnienia swego, poczuje się członkiem urządzonej gminy, w które każdy człowiek ma swe prawa i obowiązki.

Poznawszy tak życie rolnicze, wieś, życie i stosunki gminne, zrozumie potem łatwiej życie, stosunki i urządzenia w narodzie i państwie.

Wielki więc przycisk kładziemy w szkole elementarnej na naukę tyczącą się gminy, życia i stosunków wieśniaka. Celem obszerniejszego nauki tej przedstawienia, pokazania jak ją rozumiemy i jakbyśmy ją w szkółce wiejskiej wykładać życzyli sobie, podajemy wzory w następujących naukach, w formie pytań i objaśnień przy ważniejszych punktach.

Nauk tych czyli rozdziałów jest 19:

Nauka 1) Wieś. 2) Mieszkańcy wsi i ich zatrudnienie. 3) Rodzina wiejska. 4) Zagroda wiejska. 5) Zacność stanu rolniczego. 6) Rola. 7) Jak dziką nieurodzajną ziemię zamienić w urodzajną rolę. 8) Poznanie niepewnych gruntów. 9) Uprawa roli. 10) O mierzwie. 11) O zbożu (o roślinach). 12) O łąkach. 13) O koniczynie. 14) O założeniu lucernika. 15) O ogrodach i warzywach. 16) Hodowanie ziemniaków. 17) Hodowanie warzyw. 18) O szkółkach drzewek owocowych i sadach. 19) O chmielu, winnej macicy, drzewach leśnych i morwach.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 19 (31) marca 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański.*